

NUMER POJEDYŃCZY 10K.

ZŁOTY RÓC
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA N°5
TEL. N° 226-83.

N°

WARSZAWA
DNIA 1 STYCZNIA 1912 R.

2



Do powieści „Wojna narodów”.

St. Bagieński.

... pan Tomasz ani słyszał, ani rozumiał tych wywodów.

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.



ecz jeżeli nielitościwą była dola nędzarzy, wlokących się z pod Moskwy, opuszczonych przez resztki wojska, które już do Wisły docierało, wydanych na zagładę — to stokroć może cięższym był los tych, co,

ze strasznych terminów się dobywszy i zaznawszy opieki, już z całą świadomością musieli wracać w ten sam odmęt rozpacz—co zbudzeni z odrętwienia, ze znieczulenia, poraz wtóry wydani byli na męki.

W tem okrutnem położeniu był właśnie imię pan Tomasz Kostecki, podporucznik czterdziestego ósmego pułku francuskiej piechoty linjowej. Toć ledwie trzeci dzień jak technął swobodniej, ledwie zbył się plugastwa, co od Możajaska go żarło, ledwie rana i srogie nóg odmrożenie dokuczać mu przestało, gdy oto spadł nań wyrok nieubłagany księdza Potkajtysa — aby do drogi się zbieirał, aby szedł sobie precz z księżego obejścia.

Na to oświadczenie wszystka krew skrzepła w żyłach podporucznika. Ksiądz bakał mu o racjach, co go niewolą do tego kroku, rozpowiadał o generale Borozdinie, który ma ruszyć z Wilna na chwywanie ukrywających się w okolicy maruderów, o tem, że karczmarz żyźmorski już podwakroć nagabywał organiście o „Francuza“, hołubionego na probostwie—pan Tomasz ani słyszał, ani rozumiał tych wywodów. Przed oczyma podporucznika stała w pełni groza przeżytych cierpień. To, co, przed momentem, wydało mu się naraż złą, widziadłem, zmorą — objawiło mu się żywym znów, znów prawdziwym... I pan Tomasz przebiegał myślą bolesne wojaństwa swego koleje i ślaniał się od pamiętnej nocy, gdy go z zacisza matezynego porwał austriacki nakaz werbunkowy, aż do owej chwili, gdy padł bez ducha na progu żyźmorskiej plebanji.

Smutne, gorzkie było wojowanie pana Tomasza.

W roku tysiąc ósmset czwartym zagarnięto go, młodzieniaszka, wdowiego syna, ubogiej posesorki opatowskiej, i zapędzono w kamasze. Cztery lata pokutował imię pan

Tomasz, jako piechur mizerak, wciśnięty w czworobok bataljonu. Przetrwał austerlitzką klęskę, piekło dyscypliny nieludzkiej, poniżenia, tęsknoty — i doczekał się kampanji roku dziewiątego. W bitwie pod Ratysboną, bataljon, w którym był uwięzionym pan Tomasz, został rozbitym i zagarniętym do niewoli.

Kostecki odetchnął, niewola zapowiadała mu wszak wyzwolenie, koniec twardej, beznadziejnej służby. Nie darmo przecież dochodziły go słuchy, że Polacy za jedno z Francuzami idą, że cesarz Napoleon już część Polski niepodległością obdarował, a jeno patrzeć a zgoła wszelką potęgę Rzeczypospolitej powróci.

Stąd imię pan Tomasz najmocniej narodowość swą obwieszczal i o należne mu względy się dopominał. Wyznaczeni komisarze wojenni do spisywania niewolnika, cale przyjaźnie traktowali Kosteckiego. Więc sprawa jego układała się najpomyślniej, trzeba było jeno baczyć rozkazu sztabu głównego. Jakoż, we dwa miesiące, przyszedł upragniony rozkaz i orzekł, aby pana Tomasza z pierwszą pochodową kolumną wyprawić do Nancy, do zakładu czterdziestego ósmego pułku piechoty francuskiej...

Pan Tomasz próbował się jeszcze ludzić. Przybycie do Nancy rozwiło ostatek nadziei—tego samego dnia jeszcze oddano go sierżantowi na naukę szkoły żołnierza. Kostecki mało nie płakał z goryczy, z pasji na taką napoleońską łaskawość, mało nie poddał się poszeptowi rozpacz. Poczciwe atoli obejście instruktora a dalej przychylność dowódcy zakładu pułkowego pogodziła go z nową niedolą, oswoiła. Nadto, wtóra ta przymusowa służba wojskowa miała dla pana Tomasza pomyślniejsze warunki, bo większą na potrzeby żołnierza czujność, opatrzenie dostatniejsze, godniejsze obchodzenie i drogę do awansu otwartą.

Imię pan Tomasz, po roku, został kapralem, po dwóch już sierżantem, a przed samym wymarszem roku dwunastego podoficerem. Co więcej, Kostecki zdołał nareszcie otrzymać pierwsze wiadomości od matki. Smutne były. Posesyjka opatowska pani Kosteckiej skurczyła się do starego dworku i włóki ziemi. Lutka, siostra jedyna pana Tomasza, wyrosła na pannę i trawiła młode lata na męczczeniu się i zarabianiu igłą. Stryj Walenty, pisarz grodzki, opiekun rodziny, zmarł. Ostatnia nadzieja matczyną, że pan

Tomasz wróci, że najdzie sobie promocję, że wesprze osamotnione niewiasty.

Pismo matki orzeźwiło, ocknęło pana Tomasza. Marsz ku ziemiom ojczystym dał otuchy, wiary, zadufania.

Pułk czterdziesty ósmy ateli, należący do brygady Grandeau, dywizji Friant, pierwszego korpusu marszałka Davoust, zdala na północ od Opatowa przeszedł Wisłę. Narazie więc znikła dla pana Tomasza myśl zawitań w progi rodzicielskie. Lecz dola wzajemian zgutowała mu inną niespodziankę.

Już w czasie marszu przez kraje nadreńskie znajomość świetna języka niemieckiego dobyła Kosteckiego z szeregu i uczyniła ordynansem przy adjutancie sztabu pułkowego. Wkroczenie zaś do ziem polskich awansowało go na służbę do sztabu brygady i zbliżyło do osoby adjutanta marszałka, pułkownika Kobylińskiego. Pułkownik wziął do serca dzieje młodego podoficera i jego los przyszył. Panu Tomaszowi szczęście się uśmiechnęło. Kobyliński miał go przy sobie dał mu podwakroć okazję wyróżnienia się, wreszcie przymówił się oń marszałkowi. Pan Tomasz, po bitwie pod Możajskiem, dostał podporucznikowską epoletę i dowództwo półkompanji wołyżerskiej.

Był to awans, o którym wczorajszemu niewolnikowi ani śniło się, było to ziszczenie najświetniejszych jego rojeń. Teraz byle przetrwać, a nie tylko wolność ma zapewnioną, ale i stanowisko przednie w armji Księstwa Warszawskiego i drogę do urzędu i spokój o jutro i byt, byt dla matki i siostry.

Dzień nominacji na podporucznika był pierwszym jasnym dniem Kosteckiego od momentu pamiętnej branki austriackiej...

I niedość. Zacny pułkownik tyle dokażał, że sam generał Friant, wręczając panu Tomaszowi instrument oficerski, rzekł, iż, jeżeli nadal równie dzielnie będzie się sprawiał, to do krzyża będzie przedstawionym, a z nim i do dotacji.

Łuny pożarów spowijały Moskwę. Pierwsze zwiastuny głodu, chorób i klęski osiągnęły armję Napoleona. Oblicza dowódców, generałów, co czujniejszych oficerów zasnuwały się chmurami — a twarz, serce pana Tomasza promieniało radością, przeświadczeniem, że wszelkie odeń odeszło niepowodzenie.

Stąd, nawet niedostatek, który zaczął dokuczać nowomianowanemu podporucznikowi, nawet coraz dokuczliwsze braki nie

zdolne były narazie umniejszyć jego zadufania.

Pan Tomasz gorzał chęcią wykazania się. Jakoż, na czele swej półkompanji tak mężnie się stawił, że, po bitwie pod Połockiem, — generał Friant uznał go godnym legji...

Jeszcze sześć dni przetrwało zadufanie podporucznika, więc do chwili, gdy mordercza rozprawa pod Możajskiem zamieniła pułk czterdziesty ósmy w lichy bataljonik i powaliła pułkownika Kobylińskiego. Zacny pułkownik żył wprawdzie, lecz był już kaleką — kula armatnia urwała mu nogę. Gromadka grenadjerów czterdziestego ósmego pułku, zakłęta przez samego Davoust, zaprzysięgła dokonwojować Kobylińskiego.

Pan Tomasz odtąd nie oglądał więcej swego dobroczyńcy. Jeszcze pod Krasnem słyszał, że widziano go na sankach, wleczonych przez kilku żołnierzy a potem, potem już podporucznik ani dopytywał się, ani mógł dopytać, bo potem szczątki armji zwały się, w jedną bezładną, poszarpaną wstęgę, w której nikli już nie tylko ludzie, ale całe pułki, całe brygady.

Do Studzianki przetrwał podporucznik chwacko. Z karabinem w rękę szedł tuż za gwardją, w ciżbie conajzawziętszych, conajtwardszych na udreki mrozu, głodu i alarmy napadów kozackich. Bez swanku zdołał przebyć nawet ów straszny most na Berezynie. Dopiero za oparzeliskami rzeki — dosięgnęła go kula nieprzyjacielska i okaleczyła boleśnie goleń.

Odtąd pan Tomasz co dnia szedł wolniej, co dnia bardziej odstawał od tych, którzy jeszcze zdolni byli stawić opór, którzy jeszcze nie byli widmami, co dnia zapadał się głębiej w otchłań rozpacz. Ale włókł się, włókł szlakiem śmierci, śladami trupów, odartych kadłubów, mordów o kęs chleba, o miejsce przy ogniu. I tak przez wysiłek nadludzki dotarł do murów Wilna, do progów spodziewanego zbawienia, lecz w momencie gdy pierwsza fala rozbitków zdołała już zrabować i podpalić magazyny, gdy pierwsza fala uchodziła przed kawalerją Płatowa.

Pana Tomasza zagarnął podjazd nieprzyjacielski. Podporucznik całe sobie tego nie miał za nieszczeście, gorszych mąk nie mógł zaznać.

(d. e. n.)





Włodzimierz Konieczny.

(Tow. Z. S. P.)

SPOJRZENIE.

WIKTOR GOMULICKI.

Walc nocnych mgieł.



omiwojażerowie są ambitni i obraźliwi. Bardzo też pilnie rozważają, czy w usłyszanych słowach nie ma dla nich czegoś ubliżającego. Pochodzi to stąd, że każdy komiwojażer posiada kilka i kilkanaście

honorów, będących honorami „domów“, które reprezentuje.

Ten, który miał czapkę kratkowaną i brzuch pasem flanelowym opancerzony, usłyszawszy moje wyznanie, namarszczył się srogo, i przez czas długi przeszywał mnie w milczeniu wzrokiem — taksatora. Można było sądzić, że oblicza w myśli ile jestem wart na ruble, marki, franki, korony i szylingi, i czy moja złośliwość jest w stanie choć na chwilę zachwiać kredyt któregośkolwiek, obsługiwane przezeń, „domu“.

W końcu jednak rozpogodził się i głową kiwnął porozumiewawczo; guzik zaś na jego czapce roześmiał mi się w oczy:

— Aha! rozumiem...

Omal nie krzyknąłem:

— Kłamiesz, bezczelny blagierze! Jakże rozumieć mogłeś to, co dla mnie samego niezbadaną jest dotąd tajemnicą?..

Krzyknąwszy, jużbym do właściciela czapki i pasa mówił spokojniej:

— Alboż takie, jak ty, pajace, są w stanie wznieść się do pojęcia kobiety — i to jeszcze: mojej kobiety?.. Już za samą płaską, plugawą myśl, jaką do wyrazu *Weib* przywiązujesz, wart jesteś, żeby cię spoliczkowano. W worku podróżnym, równie jak czapka kratkowanym, który się nad głową twoją kołysze, chowasz „próbki“ — na sprośnych tymczasem fotografiach — swego żeńskiego towaru... wiedz jednak, że prędzej sam upodobnisz się do człowieka, niż twoje samice orangutanów zdobędą prawo nazywać się kobietami!..

Targany wichrem wagon, wzдрыgał się i kolebał, jak łódź na rozuzdanem morzu; nawałnica parła w okno, chcąc szybko zdruzgotać i do wnętrza się wedrzeć; pociąg leciał jak oszalały, rzucając w mrok przeraźliwe gwizdy, i nie zatrzymując się prawie na stacjach, z których zresztą nikt nowy wsiadać doń nie myślał. Tak! szalony musiał być „biznes“, który do jazdy w taki psi czas zmusił komiwojażera — i mnie.

Na którejś ze stacji, gdzie drogi się krzyżowały, wicher wywiał z wagonu mego towarzysza. Pozostałem samnasam z okropnościami burzy jesiennej. Było mi dobrze. Słuchałem trzasku druzgotanych przez huragan słupów telegraficznych, słuchałem jęków, lkań, charczeń wichru szamocącego się we wnętrzu rury, w kącie wagonu przeprowadzonej. Przyjemność mi to sprawiało.

Każdy człowiek jest urodzonym harmo-nistą. Życie o tyle tylko wydaje mu się dobrem, o ile układa się do prawidłowego z nim samym akordu. Nawet rozdźwięk z przyrodą jest mu przykry, boli go i przygnębia. Trzeba, żeby nastrój pory roku, pejzażu, pogody odpowiadał nastrojowi duszy, bo tylko w takim razie przyroda dobrą matką się wyda. Inaczej, jest wiedźmą ohydną, przez piekło zesłaną, katusze sprawiającą...

O straszne, uroczu południa sierpniowe! O przekłety, rozsloneczniony, wyblękitniony, chmurę zapachów niosący wdzięku dojrzałego lata! Jakżebym pragnął wykreślić was z mego życia — z przyrody całej wyszarpanąć!..

Przy wtórce szalonej nocy mogłem spokojnie rozmyślać. Ogniste wybuchy błyskawic pozwalały mi głębiej do wnętrza duszy sięgać. Myśli moje, przez czas długi rozpierchnione i wirujące, skupiały się teraz dokoła jednego punktu — a tym punktem było wykradzione mi podstępnie wyznanie:

— Kobiety szukać jadę...

Byłaż to prawda?

W mózgu moim zatapiało się od dłuższego czasu ostrze dziwnej, niepokojącej myśli: Czy to, czego szukam, jest naprawdę — kobietą?..

Ta myśl, szersze kręgi zataczając, z kola spraw osobistych wyszedłszy, wyrażała się w pytaniu znaczenia ogólniejszego:

— Czy my wszyscy, poza sferą komiwojażerów i innej samej stadniny, w kobiecie szukamy naprawdę — kobiety?

Laura, Beatrycze, Maryla, były dla swych nieśmiertelnych miłośników przedewszystkiem: symbolami. Symbolami wszystkich, najgoręcej ukochanych idei; może nawet symbolami nieskończoności. Potem oni znaleźli inne symbole. Pierwszemu kobietę zastąpiła Sztuka; drugiemu — Bóstwo; trzeciemu — Ojczyzna.

(d. c. n.)

Ze szkolnej ławy.

(Wspomnienie).

Lat kilkanaście minęło już od tej chwili... tak, lat kilkanaście wrzenia serc i umysłów. Lat kilkanaście — zakończonych burzą, po której, choć wstęga tęczy jasnym łukiem obiegnęła niebo, słońce wszakże nie zajaśniało, ukryte poza szarzyzną ołowianych chmur, ciężką oponą przysłaniających błękity.

Wspomnień młodzieńczych nie kryje mgła zapomnienia! przeciwnie, odżywają one w naszym umyśle, wskrzeszane wypadkami chwili, przeżywaną terażniejszością, niedyskretnie uchylającą rąbek zasłony lat szeregu.

Dziś, lepiej uświadamiamy sobie to wszystko, na co przed laty obojętnem nieraz spoglądaliśmy okiem, gdy burzą nie pobudzona iskra, nieśmiało w tajnych skrytkach naszej duszy tliła. W świetle *dzisiejszego*, przybiera formy bardziej zdecydowane — sąd o *dawniejszem*.

Pamiętam, jak dziś, lata, gdym chodził do szkoły. Pamiętam tych nauczycieli, te klasy, to zadawanie, to obkuwanie się, to „wyrwanie“, te stopnie, te ćwiczenia piśmienne i ćwiczenia... mniej piśmienne, pamiętam wakacje, węgry, pauzy, psie figle, „sery“, bijatyki, gry, ściąganie, ściągaczki i zaciąganie się papierosami w miejscach, gdzie czujne oko „pedla“ przez małą nawet szparę śledziło, pamiętam, „szpiclowanie“, dochodzenie, śledztwo, jedno i dwudziestoczęterogodzinne kozy, pamiętam wszystko i nawet uszy moje przenika ten dzwonek, wzywający nas na lekcje, dzwonek rozlegający się po schodach, korytarzach klasach i podwórku.

I pustoszeje podwórko — widownia bijatyk i gier, natomiast robi się ludno na schodach, a fala krótko przystrzyżonych głów, jaśniejszych i ciemniejszych, wzbiera ku górze — po drodze maleje, niknie, wehłania na przez paszcze sal klasowych.

Już zapełniły się ławki naszej II-ej klasy.

Ów krzyczy i hałasuje, ów na gwałt przypomina sobie lekcje, inny notuje na mankietach, dyżurny ściiera tablicę.

Ach, ta lekcja arytmetyki!

— Już idzie!... — woła któryś z kolegów, stojących u drzwi na czatach. Zawołał i w tejże sekundzie wjechał przez wierzch do ławki.

Klasę zalega cisza.

W progu ukazuje się, zmierzając ku „katedrze“ człowiek z rudawymi włosami i ru-



M. Jakimowicz.

(T. Z. S. P.)

Fragment z Anhellego.

dawą rzadką bródka, a żywe, nieco skośne, latające oczy, zda się śledzą bodaj każdy ruch najmniejszego pyłku w powietrzu.

Szeregi w ławach powstały, by ucieść wejście „pana profesora,“ a ów usiadłszy, skinął nam, byśmy spoczęli. Szurganie nogami zwiastowało spełnienie rozkazu profesorskiego.

— Cicho tam! co za hałas!?!—zawołał— zapiszę do dziennika! Gałgany jakieś!

I klasę grobowa zaległa cisza... a dziennik leżał na katedrze, niby potwór, gotów wchłonąć w siebie niektóre, ba, nawet wszystkie nasze nazwiska.

Bo w on czas dziennik był nietylko w naszym lecz i pana profesora wyobrażeniu, księgą wiadomości złego i dobrego i głównym podłożem oświaty.

Po dzienniku szedł podręcznik.

Z podręcznika zadawało się „od“—„do“ a kuć trzeba było na pamięć i biada jeżeliś zechciał tak jak rozumiesz, swojemi słowami zadaną lekcję opowiedzieć... palka, a co najwyżej dwójka, była epilogiem takiej samowoli.

Tak, nasz profesor miał swoje zasady, bo też trudno, żeby ktoś z pensją 2,400 rb. za 150 dni „roku szkolnego“ i z jakąś tam rangą — zasad nie posiadał.

Lekcja zadana, a teraz—ćwiczenie piśmienne.

— Książki schować, wyjąć kajety do ćwiczeń! prędko, no!...—woła pan profesor— a ty tam ośle jeden, długo jeszcze będziesz się grzebał!?

Rozkaz spełniliśmy, oczekując z rezygnacją dalszych wyroków.

Ach, te zadania, ulubione zadania pana profesora z t. zw. „kruczkim,“ gdzieby uczeń, jak przed wysoką, gładką kamienną ścianą, utknął i ani kroku naprzód nie mógł zrobić, ani też przeskoczyć ściany, ani jej rozwalić!

Trzy zadania podyktował nasz krzewiciel oświaty, zapowiadając, że kto dwa z nich dobrze rozwiąże a trzeciego nie zdąży — dostanie palkę. Kto zaś wszystkie trzy rozwiąże i odda 5 minut przed pauzą, a więc z chwilą gdy wszyscy obowiązani zamkną i oddać kajety — otrzyma trójkę, do wyższych stopni będą mieli prawo, oddający wcześniej.

Rozpoczęliśmy wyścig dystansowy na zadania, a pozostawało już tylko 45 minut, po odliczeniu czasu, zużytego na przedwstępne czynności, związane z rozpoczęciem lekcji.

Mniej więcej po 20-tu minutach, spokój na chwilę został zakłócony: jak tygrys rzucił się pan profesor na ucznia, którego po-

dejrzewał o „ściągnięcie“, chwycił jego kajet i kazał wszystkim wyjść z ławki; rozpoczęło się rewidowanie skrytek, osobista rewizja, przetrząsanie rękawów i kieszeni.

Rewizja nic podejrzanego nie wykryła.

Przez ten tak drobny na pozór wypadek, straciło się około 5-ciu minut, a podrażnieni, nie tak prędko zdołaliśmy znów skupić rozproszone myśli.

A czas płynął...

— Za 15 minut odbieram kajety — spoglądając na zegarek, rzekł pan profesor.

Drgnąwszy, jakby iskra elektryczna nas przeleciała, z gorączkowym pośpiechem pragnęliśmy myśleć i pisać. Obwieszczenie to zdenerwowało nas.

— Już tylko 10 minut pozostaje—rzekł po pewnym czasie tym samym głosem.

Czuliśmy, że zbliża się chwila krytyczna. Mózg pracował z wyczerpaniem, lecz coraz to rwał się wątek myśli, szarpanej zwiastowaniem nielitościwie zbliżającego się terminu...

— Za 5 minut odbieram kajety—oświadczył pan profesor, tym razem nie chowając zegarka.

Zdenerwowanie wzmagало się... na policzkach wystąpiły nam wypieki. Myśli w chaotycznym jakimś tańcu hulaly pod czaszką. Nie sposób już było ich zebrać. Praca stała się nieprodukcyjną.

— Jeszcze tylko 4 minuty...

Niektórym z nas pot kroplisty wystąpił na czoło.

— Już tylko 3 minuty...

Tętna w skroniach były, niby ciężkie żelazne młoty.

— Tylko 2 minuty...—tym samym głosem ciągnął pan profesor.

Zdenerwowanie doszło do najwyższego napięcia, myśl przestała działać.

— Jeszcze jedna minuta, śpieszcie się!.. zawołał.

Żyły na skroniach nabrzmiały, oczy błyszczały nam gorączkowo i zaszyły łzami, cyfry zaczęły tańcować... skakały na białym szmacie papieru...

— Tylko 30 sekund!..

Cyfry z kajetów rzuciły się do oczu, przeniknęły do mózgu, uderzając pod czaszkę... w głowie się zakręciło... załomotało..

— Tylko... tylko 15 sekund!..

Kurczowo nachyliliśmy się nad kajetami, nie widząc i nie wiedząc co się wkoło dzieje... i nastąpił dziwny bezwład myśli, bezsilność jakaś... Boże...

— 10 sekund... spieszcie się!

Bezsilność nabierała pozorów omdlenia...

— 5 sekund...

Stan chyba letargiczny...

— Baczność! — zahuczał pan profesor, chowając zegarek — raaz... dwa... i... trzy! Zamknąć kajety!

Machinalnie, automatycznie jakby, zamknęły się kajety... kilka kajetów wszakże zwolna się zamykało a właściciele ich zbudzeni z omdlenia, pragnęli jeszcze, jeszcze coś zauważyć...

Tu dopiero rozwinął pan profesor swoją energję, podejmując akcję represyjno-zaradczą; niktby nie przeczył gimnastyka w tej napozór niemrawej kreaturze: rzucał się na lawki i przez głowy kilku naraz uczniów, sięgał po niezamknięty kajet, miał go i ciskał pod ścianę.

Skoro się z jednym delikwentem załatwił — natychmiast rzucał się na drugiego z błyskawiczną szybkością szerząc spustoszenie wśród opornych.

Załatwiwszy się tak, od pozostałych odebrał resztę kajetów.

— Dyżurny!.. pozbierać kajety z pod ściany! — zawołał.

Dyżurny z pokorą pozbierał. Pan profesor odłożył nieszczęsne kajety na bok, a otworzywszy dziennik, stawiał po kolei wszystkim ich właścicielom rzymskie palki, jednocześnie zapisując ich do dziennika, za „zuchwałę nieposłuszeństwo, demoralizowanie klasy i opór władzy“.

Tymczasem, na korytarzu, rozległ się dzwonek... Wielka pauza, ach, upragniona wielka pauza!

Skończyły się represje — pan profesor wyszedł.

Podczas pauzy jednak nie biliśmy się, aniśmy nie grali w piłkę, a nawet niektórzy śniadanie pozostawili nietknięte, kilku płakało... Popsuła nam się upragniona pauza...

Taki był system pana profesora.

Dziś, gdy widma przeżytych wypadków ponurym korowodem ciągną w mojej wyobraźni i gdy teraz widzę rozweselone już buziaki sztubaków, uprzytamniam sobie tę lekcję z przed laty, uprzytamniam tem mocniej, a szara sylweta profesora, jak cień nocny, majaczy wśród ponurego pochodu, który w dziejach tak smutną po sobie pozostawił pamięć.

Walenty Zieliński.



Jakob Weinles.

(T. Z. S. P.)

JESIEŃ.

PRZEJAZD SZATANÓW.

*Hej! W nocie parne, w lipcowe nocie
Z huktem szatańskie jadą karoce,
Świecą i dzwonią złote zaprzęgi
Wśród lesnych traktów szerokiej wstęgi.*

*Blyszczą karoce, djable kołpaki —
Nozdrzami grają czarne rumaki,
Po ziemi dudnią stalne kopyta,
Sto widm w przestrzeni parnej wykwiła.*

*Jadą szatani z pijanym śmiechem,
A bór się cały odzywa echem
I wszystko, wszystko wokół nich tańczy
W wir jakiś błędny, w wir opętańczy.*

*Przez bór przemknęli w szalonym pedzie —
I zda się głucho, cicho jest wszędzie,
Tylko drżą karoc złociste koła,
I bór przekleństwem za nimi wola.*

*I tylko głos czyjś błędny, sierocy,
Mknie w ślad za nimi szlakami nocy;
I tylko czyjaś rozpaczna skarga
Opony nieba szarpie i targa.*

*Przemknęli — znikli — tylko zdaleka,
Gdzie świt — noc wstęgą różu przewleka
I chmury bladym rysuje złotem —
Coś drży i dzwoni djablim chichotem.*

Zygmunt Różycki.

STARE LWY.

POWIEŚĆ.



dyby w tej chwili zawirował strop niebieski nad nim, pod nim się ziemia zatrzęsała, nie widziałby nic, nie nie czuł, zapatrzony w ony gmach kamienny, rysujący się tak krwawo a tak potężnie na ciemnem

tle błękitów. Odwalony olbrzymi cień od tego kamiennego widma, łączył się ze zmierzchem wsi, zatopionej w mgłach i dymach.

— Więc... to — tam!... to — tam!... jakby z dna mogiły, głos wypadł z piersi rycerza. Drżał...

Zda się, że mury te pożerał oczyma płonącymi, że je rozbijał myślą swoją, przewiercał jakimś pożądaniem szalonym.

Na jednym z krążganków zamkowych zamajaczyła postać męska.

— Wojewoda — szepnęło pachole, usuwając się w lasów podszycie.

Dziwne ruchy dostrzegło w tej chwili w rycerzu nieznanym: za miecz chwycił, za topór, za jatagany tatarskie... ale żadnej z tej broni nie ujął — — Dłoń spłynęła ku ziemi i zwisała bezwładnie, głowa opadła na pierś, lica pokryła chmura ciemna. Ściągnął wodze koniowi, który cofnął się, rozkazom posłuszny — i w cieniu drzew się ukrył.

Rycerz dłoń do czoła przyłożył, dotknął później piersi wzburzonej... i znać było, że silnem woli napięciem przywoływał spokój i równowagę umysłu.

— Wy nie jedziecie do zamku — odezwano się chłopię po chwili.

Młody pan spojrzął na przygodnego towarzysza — i jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że nie był sam, że nieproszonego miał świadka uczuć nim miotających.

Rzekł cicho:

— Nie — nie jadę... Chciałem jeno zobaczyć jako one mury ogrodzienieckie wyglądają, o których dziwy nie dziwy słyszałem.

— I jako wam się wydały? — spytało chłopię.

— Mocne są!... nie ugryzie ich kula, z paszczy armatniej wyrzucona, ni głaz, z kuszy ciśnięty. Nawet grom się ześliźnie i jeno

szczerbem lekkim napis położy, że tu był — bezsilny!...

— A ludzie mówią — ozwało się pachole — ale to bajka być musi — że, czego nie złamie ni piorun, ni miecz, to wielkie miłowanie złamie.

Rycerz wypatrzył się na młodzieniaszka, który ciemne źrenice w źrenicach jego utkwiał i głosem spokojnym mówił to, co *ludzie mówią*.

— Być może... być może — szepnął na wpół do siebie.

— I wy, dla tego, by murowańcowi się temu przypatrzeć, z dalekiego tak przybyłście świata? — ciągnęło chłopię.

— Tak — dla tego tylko — — —

— A jabym w daleki świat poszedł, ażeby go tylko nie widzieć — mówiło pachole.

Rycerz obejrzał się wokół —

— Czy jesteśmy tutaj bezpieczni? spytał —

— Bezpieczniejsi niż u źródeł Przemszy-Czarnej, skąd, nieznający drogi, przybyłście tutaj.

— Dlaczego tam jest niebezpiecznie?

— A zbóje?

— Tam?

— Dziękujecie Bogu, żeście bez szkody pieczary tamtejsze i jaskinie minęli.

— Wszystko to dobre jest, co mi mówisz mój chłopcze, ale skąd wiesz, żeś ci z dalekości przybył i wedle Przemszy-Czarnej przeprowałem się? — spytał rycerz.

— Bo Ogrodzieńca szukaliście, niby żdźbła słomki w kocu maku, a żeście u źródeł Czarnej-Przemszy byli, to widno po tych trawach, które w strzemionach zastrzegły. „Wilcze-Łyko“ tam tylko rośnie — tu go niema!

Rycerz uśmiechnął się, poruszył głową i rzekł:

— Niebezpiecznyś!

— Dlaczego?

— Dopatrzysz wszystko, a gdy raz na trop wpadniesz, toś do samej duszy przedrzeć się gotów.

— To trudno!.. Ale patrzcie-no, zmierzcha!.. Gdzież wy teraz noclegiem staniecie?

— Nie twojać troska w tem, dzieciaku!..

— Możebyście do ogrodzienieckiego plebana zajechali?.. Zacny człek!..

— Nie — nie — — —

— Jest tu w bliskości i Smoleń, na którym pan Nikodem Smoleński siedzi, co go

zwał „Wilkiem starym“ i któryby dawno łeb swój pod miecz katowski dał, gdyby rodzonej maci swojej, jako to Polszcę nazywa, nie miłował tak serdecznie, a tak szczerze od nieprzyjaciół nie bronił, że teraz u nogi kulą stuka, a na wiek wieków ma lewe oko zamknięte. Jeno, kto mu przyjaciel, to pana wojewody wróg — a wyście do Ogrodzieńca jechać mieli.

Rycerz, który z kulbaki był zsiadł i rumakowi wolno wodze puściwszy przypadł do pnia starego modrzewia, gdzie na murawę się rzucił, folgę członkom zmęczonym dając — nie odpowiedział nic na ową gadaninę pacholecą, jeno zapatrzył się przed siebie, jakby rozplątywał myśli jakies, rozproszone — zbierał, nadawał im kształt i barwę. Po chwili zwrócił się do chłopca i w oczy patrząc, w ten sens się ozwał:

— Podobasz mi się!.. jest w tobie coś, co mnie pociąga do ciebie. Proszę tedy, ażebyś nikomu na wojewodzińskim nie wspominał dworze, żeś mnie tu widział, że wyglądam tak a tak, mówił to a to... Zapłaty nie chciałeś wziąć za pokazanie mi drogi do Ogrodzieńca, to teraz może za milczenie...

— Nie obrażajcie mnie — robiąc krok w tył, rzuciło pachole... Nie znam was, nie słyszałem o was, nie widziałem was!...

Ze zdziwieniem niemałym patrzył rycerz na chłopca. Śliczna, choć oczerniona nieco sadzami twarz jego, była w tej chwili pełna wyrazu dumy męskiej i powagi, tak nie licującej z latami pacholecia a tem mniej z jego pochodzeniem i zajęciem. I znowu jakiś półdźwięk urwanego wyrazu zabłąkał się w ustach nieznajomego pana i tak samo, jak przed tem, uwiązał w krtani. Po chwili, wysilając się na spokój, rzekł, niby od niechcienia:

— Jakże się miewa wojewoda?

— A coby mu brakło — zdrów! — odpowiedziało pachole.

— A wojewodzina?

Teraz zatchnął się chłopak.

— Żywie? — pytał rycerz.

— Żywie, bo smutnemi oczyma na świat patrzy.

— Pani na Ogrodzieńcu! pani tyłu włości! małżonka wojewody!.. — z przekąsem rzucił rycerz. — Zali nie pogodziła się dotąd z dobrami tego świata?

— Widno, że to jest zło tego świata, kiedy nie wszyscy godzić się z niem umieją. Ale wy wojewodzinać znać musicie?

— Znałem... niegdys!.. — odpowiedział pan nieznajomy.

— Musiała być inną — ciągnął rozgadany chłopak — bo ona patrzy na to, że inną była. Mnie się wydaje... Bo takie ma oczy... a takie śliczne oczy ma pani [wojewodzina!.. że — gdy patrzy, to nie przed siebie, jeno poza siebie.

— Co?.. jak?.. — porwał się rycerz.

— W to, co przeszło i co już nie wróci — dokończyło pachole.

— Coś ty powiedział? coś ty powiedział — zawołał nieznajomy.

W oczach pięknego pana zakreśliły się łzy — —

— W to... co przeszło, a w tem... co przeszło — —?

— Może ktoś był do was podobny — rzuciło chłopię.

Rycerz chwycił drobną rękę młodzieńca i zgniótł w swoim uścisku. Znać, że nie mógł inaczej uczuć swoich stłumić, jak tym nerwowym skurczem palców, które bezwiednie ból silny zadały pacholeciu. Nie jęknęło jednak, lecz z męskim spokojem wytrzymało ten ból.

Rycerz drżał...

(d. c. n.)



Henryk Piątkowski.

(T. Z. S. P.)

DZIECI.

Otto Juljusz Bierbaum.

(Dalszy ciąg).



rzeba było albo samemu szukać drogi wyjścia lub wrócić do starych ideałów z hasłami „maluczkimi“, z hasłami przeciw alkoholizmowi, przeciw brudowi, przeciw Bismarckowskiej modlitwie do armat i żelaza. I oto widzimy, jak jedna

falanga pocichutku skrada się do pozostawionych hasel, gdyż sama hasel wytworzyć nie umiała, zakłada „stragany“ z „Heimatkunst“. Inni szukają sobie w najczystszej formalizmie estetycznym ucieczki przed pytaniami, które „kazał“ artyście szukać Przybyszewski. Bierbaum wtedy to rozpoczyna na dobre śmiać się, tańczyć, walić ciężkie, niemieckie hołubce, chce zagłuszyć „te pytania“ kabaretową przyspiewką: beideldumdei!

Śmiech prowadzi Bierbauma tak daleko, że w „Stilpe“ (powieść 2 tomy) maluje karykaturę Przybyszewskiego, nazywając go „der wilde Pole“. Wydał się Bierbaumowi Przybyszewski „dzikiem“, gdy konfrontował swoją myśl czujną i prawdy szukającą z arsenalem przeżytków i przyzwyczajęń. Wołał przeto przyjaciel Przybyszewskiego Bierbaum nie tak „dziko“, więcej „gemüthlich“, więcej po niemiecku przypatrzyć się całej tej nędzy moralnej człowieka współczesnego.

I oto powstają dwie wielkie powieści, najlepsze źródło poznania charakteru twórczości Bierbauma: Princ Kuckuck i Stilpe. Pierwsza, trzy grube po 600 stronic tomy, druga już tylko dwa, lecz za to też nie cieńsze. Chciał się upić Bierbaum swoim szyderstwem, szedł przez Niemcy współczesne i chłostał dobrodusznie, od pana junkra poczawszy a skończywszy na chłopie niemieckim, nie oszczędzając, rozumie się i siebie.

Już w „Szkicu do portretu pewnego dobrego znajomego“ (Skizze zum Porträt eines guten Bekannten von mir) opowiada Bierbaum humorystycznie o swojej biografii:

„Urodził się Otto Juljusz Bierbaum w roku 1865 w Grüneberg na Szlązku (um. 1910). W rodzinie panowały dziedzicznie dwie linje: jedna słodka — cukiernicy, druga gorzka — protestancka teologja“. Z tej to mieszaniny gorzkiej teologii i słodkiego cukiernictwa zrodziła się jego twórczość — jak żartobliwie oświecła siebie Bierbaum.

Na zapytanie, czy jest on pisarzem „modern“, odpowiada przecząco. Bo i gdzieżby to było „modern“, żeby jeden pisarz mógł tworzyć powieści, wiersze, dramaty, studia, teksty do oper, nowele, balety, bajki... To jest przecież nie „modern“ taka pracowitość, konkluduje wesoło Bierbaum. A przytem trzeba wziąć pod uwagę, że jest on zupełnie nie muzykalny. A wiecie czemu? Bo nie

umie rozkoszować się „symfonią kolorów, bo nie wyobraża sobie „oper barw“.

Jak i każdy Niemiec, Bierbaum jest religijny. Religja jednak jego, jak się przyznaje, trąci eklektycyzmem.

Od żydów przejął psalmy, od protestantów pewną liczbę pieśni, od katolicyzmu muzykę instrumentalną i różne części świętej garderoby, od buddyzmu piękną pozę siedzenia na kwiecie lotosu, od konfucjanizmu „das Princip der grossen Wurstigkeit“...

Jedna tylko cecha broni go przed zarzutem, którego się lęka, a mianowicie, że nie jest Niemcem. Sybarytyzm, wygodę lubi on nadewszystko, chociaż zarówno cześci Napoleona i Dostojewskiego, co nie powinno mu być policzone, gdy zapomni wrzucić we właściwą urnę kartkę wyborczą, a więc jest... Niemcem.

Już ta charakterystyka jest wskazówką, jak należy rozumieć twórczość Bierbauma, jak należy ujmować jego sybarytyzm, humor i drwiny na tle życia współczesnego.

„Princ Kuckuck“ — trzytomowa arcykomedia niemiecka, trzy grube książki, natłoczone przez tysiąc figur przeróżnych: niemal całe współczesne Niemcy z ich religijnością, miłością do piwa i gescheftu, dorobkiewiczowskie środowisko, pełne kosmopolitycznego tłumu. Bierbaum przez pryzmat swojego optymistycznego, sybaryckiego śmiechu przygląda się wszystkim warstwom swojej ojczyzny: głupstwu burszów, idyotycznemu snobizmowi kapitalistów, litością otacza bawarskiego „Michel'a“, wszędy doszukuje się „zwierza ludzkiego“, którego ośmieszysz przed czytelnikiem. Nie chodzi mu o to, by powiedzieć coś więcej o swojej ojczyźnie nad te kinematograficzne obrazki, których ilością zarzuca. Nie. One już wystarczają, by mieć pojęcie o tych ludziach. I dlatego wybiera sytuacje, jaknajbardziej obnażające niemiecką „sparsamkeit“ oszczędność, czytanie Biblii wraz z systematyczną, nalogową rozpustą, a nawet pobożność z stręceniem własnych córek. Postać „prince Kuckuck“ jest właściwie łącznikiem powieściowym, by tem swobodniej przerzucać się można było z jednego środowiska w drugie, by tem zuchwalej i spokojniej naśmiać się z nędzy wewnętrznej swojej ojczyzny. Bo Bierbaum nie znajduje ani jednej osoby w całej swojej galerji ludzi, któraby wyróżniała się czemś istotnie pociągającym, ludzkim, by nosiła na sobie piętno idealizmu. Głupota lub interes podały ręce państwu i dźwigają je, dźwigają „sławę Niemiec“. Nawet artyści Bierbauma to jacyś karykaturalni głuptasi. Jeden rozstawia ciągle nogi, jeżeli chce coś powiedzieć, i miast słowem wyraża „myśl“ swoją rysunkiem na powietrznych „płótnach“. Drugi prawi androny o demonach-kobietach, przewraca oczy... wogóle atmosfera bardzo uboga.

Gdy jednakże pewien akademik francuski (Barres) wyśmiał Niemców, wydrwił ich

„wołowatość“ — Bierbaum pisze list otwarty w „Morgen“ (red. Sombart) i broni kulturalności swojego narodu. Powiada między innymi: „trzeba już skończyć z tym mytem, który robi z nas ciągle barbarzyńców, dzikusów“. Powołuje się na muzykę, na filozofję niemiecką. Przypomina, że wydali już Goethego, Schillera, Heinego, Kleista, Mörickego, Novalisa...

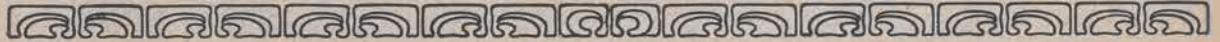
Nie przeszkadza mu to wcale, iż w „Stilpem“ znów widzimy całą galerję durni, oszustów, pijaków, bez teki genjuszów, znów niemiecka „Behaglichkeit“ panuje niepodzielnie. Biedny genjusz Stilpe daje ostatnie kabaretowe przedstawienie, nadzwyczajna nowość; wieszka się na scenie. Podlechtana niemiecka ociężałość wali kuflami, „prosit“, „wiederholen“, „bravo“ — a biedny Stilpe kona, co wywołuje huragany zachwytów. Jak nadzwyczajnie imituje powieszenie! Lecz w tym wściekłym piekle okrzyków, wiwatów, braw — Stilpe skołał naprawdę.

Od dziecka szedł biedny „pomazaniec“ sztuki przez twarde drogi życia. Już w in-

ternacie nie uśmiecha mu się fortuna, musi spokój opłacać łapówką. Pisze więc do matki pełne łez listy, „a nie zapomnij mi tych konfitur przysłać, a nie zapomnij i placka kawalek, bo go tak lubi ten Willi, co mnie bije“. Listy te są najciekawszymi stronicami książki. Powinny one wiele powiedzieć o duszy dziecka. Tak lka tu chwilami niewypła-kany dziecinny płacz, tak żali się i woła o pomoc, katowane, bite... „uczone wedle przykazań bożych“ niemieckie dziecko. Pierwsze chwile budzenia się w Stilpem „myśli i płci“ Bierbaum uchwycił przedziwnie plastycznie, choć i tu nie szczędzi swojego śmiechu. Stilpe z określonej, solidnej pochodzi rodziny. „Princ Kuckuck“ — jest dzieckiem „przy-padku, rozpusty czy szaleństwa“. Koleje ich losów płyną różnymi drogami, zawadzają jednako o przybytek sztuki, by... jednako odkryć ich pustkę i nicotę. Potknie się Bierbaum o Przybyszewskiego, ominie go wykrzywieniem twarzy: der wilde Pole.

D. n.

Eustachy Czekalski.



Romantyzm, Pozytywizm a Współczesność.

Po wystąpieniu Nowaczyńskiego ze swoim sławnym fajerwerkiem o Wielopolskim, prasa warszawska dowiedziała się, że na horyzoncie życia naszego powstaje nowa formacja potrzeb, nowa formacja hasel ideowych. Dyskusja przybrała od razu zdecydowaną barwę. Jedni zaczęli wypowiadać się za romantyzmem, inni bronili zawzięcie hasel pracy organicznej, hasel pozytywizmu. Zwolennicy romantyzmu z westchnieniem czerpią swoją argumenta-

cję, pozytywiści — frazesem pracy organicznej przesłaniają istotę zagadnienia.

Dyskusja ta nie przynosi nic cennego, nie, co by mogło posłużyć, jako wskaźnik w pracy przyszłościowej. Narobiono wiele wrzawy, wiele dziennikarskiego huczku, zapominając zakomunikować czytającej publiczności, że dyskusja nad temi kwestjami już trwa przynajmniej lat trzy. Poruszano tę sprawę w poważnych rozprawach politycznych, kulturalno-historycznych, w artykułach pisarzy takiej miary, jak Studnicki, Gruźewski, Filipowicz, dr. Biegelejsen, Waśń, Irzykowski, Brzozowski, Zieleńczyk.

W formie artystycznej Katerla, Zych, Miciński — głośno wypowiedzieli swoje credo, ostatnio Żeromski w „Sułkowskim“ rzucił żagiew swojej posłanniczej ideowej wici. Po tych rzeczowych, płomiennych, głębokich sądach pisarzy — artystów, jak i publicystów, socjologów, filozofów — Nowaczyński zjawił się ze swoim figlarnym, imperjalistycznym pozytywizmem i nikt nie odesłał go... do źródeł jego manifestacji, nikt nie wskazał, że źle autor ten czytał, skoró... takie nowalijki wyczytał. (O orientacjach życiowych

niema mowy). Nikt również nie pokazał skąd czerpią „romantycy“ swoje westchnienia, kto daje im sankeję do wystąpień



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.



Rzeźba Wł. Oleszczyńskiego.

MAURYCY MOCHNACKI.

tak rebeljanekich, jak np. wystąpienia imci p. Feldmana...

Boć przecież niepodobna za-pytywać, czy dyskusja choć raz... zboczyła z drogi frazesu na trakt poznania istotnych stosunków polskich. Nie można posądzić, że w imię poznania

wypowiada swoje zdanie prasa warszawska. Prasa nasza, jak zresztą większość prasy, czerpie swoje sądy i przesady z opinii ludzi uczonych, lub też... z wrażenia, jakie mogą otrzymać prenumeratorzy. Nie dziw więc, że podawała z drugiej, trzeciej ręki, że liczyła się z wrażeniami swoich odbiorców.

Otóż, chcemy na swój sposób ogólnie aczkolwiek rozwiązać problem postawiony przez wypadki polityczne, oraz kulturalne potrzeby naszego życia zbiorowego.



Teatr Mały.

„Damy i Huzary“.

„Przemysł, przemysł, — pełna jest polska gęba tego słowa. Tym słowem zatkał sobie polak gardziel sejmikową i zastonił oczy przed hanbą“ — woła autor „Róży“ Józef Katerla. To wołanie stało się hasłem, które równorzędnie wypowiedział romantyk-socjolog, Tytus Filipowicz w swoich „Marzeniach politycznych“. Wszystko, cokolwiek napisano w tym względzie, opiera się na fundamencie tego katerlowego orzeczenia, ono też natchnęło Studnickiego do jego wystąpień, zdarło bielmo z oczu takich wytrawnych polityków, jak Grużewski, Makowiecki. Nie odrywają się oni jednak od łożyska naszych stosunków społecznych, nie rozprawiają czezo o romantyzmie, ani też potępiają pozytywizm. Dopiero w prasie kurjerkowej zjawiły się obrony... pozytywizmu, to znów romantyzmu. Że Nowaczyński „gwiżdże“ na romantyczną trójcę, lub oburza się na pozytywizm — to nie wyjaśnia ani ukonkretnia zadań współczesności. Nad tem trzeba przejść do porządku dziennego, bo dyskusja kompromitowałaby dyskutującego.

Ojcem zaś idei pracy jest smutnej, tragicznej pamięci Stanisław Brzozowski. W swojej książce „Legenda Młodej Polski“ rzuca on pierwszy w okres porewolucyjny z fosforyzującą mocą hasło pracy. Wszystko jest dla niego pracą, przez pracę istnieją społeczeństwa, istnieją jednostki, państwa, przez pracę i nasze społeczeństwo musi zapewnić sobie swój byt.

Ta idea Brzozowskiego zna-

lazła wielu wyznawców. Rozumie się, że każdy z nich indywidualnie pojął to hasło, lecz ojcem hasła jest bezwątpienia Brzozowski. Dr. Biegielejsen w dyskusji z Józefem Waśniem oburzał się na tego ostatniego, że mechanistycznie chce się załatwić z ewolucją dziejową, że wystawia wolę ludzką poza nawias stanowienia o życiu. Dr. Biegielejsen przytem, jak i J. Waśn — są pozytywistami, wierzą, że tylko przez pracę społeczeństwo może utrwalić swoje istnienie.

Naumyślnie zacytowałem tę różnicę, by pokazać, że nie ścisłego niema w ruchu pozytywistycznym. Pojmują go, jak kto chce. Nieraz bardzo romantyczne hasła podsuwa się pod rozkazniki, tak zwanego, neopozytywizmu, jak również neoromantycy, pozytywistyczne rozkazniki przyjmują do swoich programów.

Ruch ten... jest właściwie więcej walką o słowa, niż o treść, gdyż cofnąć historii do epoki romantycznej lub pozytywistycznej nie można; rzecznikom przytem hasła chodzi więcej o idee polityczne, niż ogólnowychowawcze. Z tego stanowiska należy odpowiedzieć, że nikt nie może nie romantykowi zarzucić. Należy tylko dodać, iż wychowawcze idee muszą stać na poziomie wymagań współczesnej kultury. Pozytywiści natomiast, gdy wychodzą poza ramy polityki lat 70 Świątochowskiego, uwzględniają wymagania polityczne nowych naszych

nadziei i żądają wychowania, pedagogiki ogólnej, opartej na fundamentach wiedzy ścisłej, sądzę, że też znajdują w kraju posłuch.

Niemożliwym jest bowiem u nas teraz sam romantyzm, jak i sam pozytywizm. Tylko „romantyczny“ pozytywizm, lub pozytywistyczny romantyzm — może stanąć z powodzeniem wobec wyłaniających się zadań dziejowych.

Życie pisze programy, stawia zadania do wypełnienia. Kto więc chce stać na wyżynach zadań tego życia, niech podsluchuje tworzące się tętno jego nurtów ideowych, kulturalnych, ekonomicznych. Przekonamy się wtedy, że hasła Mochnickich mogą mieć wpływ i znaczenie, gdy się zbratają z ideami pracy organicznej Świątochowskiego, gdy marzenia wyrastać będą z fundamentów zorganizowanej siły. Marzenia bez fundamentów, jak również fundamenty bez marzeń, nie prowadzą do niczego. Lekcję w tej sprawie otrzymaliśmy od historii, niech więc nie pójdzie na marne doświadczenie lat ubiegłych, doświadczenie wieku całego...

Zdajemy sobie doskonale sprawę, że nie wyczerpaliśmy kwestji. Nie o to nam jednak chodziło. Chcieliśmy tylko dać rzut oka na zagadnienie, chcieliśmy choć ogólnie skonfrontować go z rzeczywistością. Rzeczywistość zaś jest poza romantyzmem, jak

i pozytywizmem. Dla nowych zadań, nowych potrzeb — należy stworzyć nowe idee. A te mogą znaleźć posłuch, gdy wyrosną z syntezy romantyzmu z pozytywizmem. Współczesność bowiem jest wynikiem pracy obudwóch tych kierunków.



TEATR.

Do twórczości wielkich artystów powraca się zawsze z tęsknotą, z nieukojonem pragnieniem, gdyż nigdy nie wyczerpują się źródła piękna. Wyspiański należy do rzędu tych dziwnych czarodziejów, którzy zawsze przykuwają uwagę, budzą uśpione marzenia, rozplomieniają wyobraźnię. Ostatnio przytem wystawione „Wesele“ należy do pereł jego prometejskiej twórczości; w psychologii zaś ogółu „Wesele“ przestaje już być utworem jednostki, staje się własnością narodu, wrasta w nasz organizm kulturalny. Premjera ponownego wystawienia „Wesela“—jest jak



STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

gdyby świętem naszym, jedynym szczerym głosem sumienia w topieli różnych warunków i warunków społecznych.

O, bo i pędzą nas fata, pędzą!

Czy my mamy prawo do czego?—pytanie to, postawione przez Wyspiańskiego trwa do dziś dnia. Krwawi ono, przeży, wzywa na ratunek, woła o naprawę naszych stosunków. Chodzą lalki, jasełkowe figurynki—niema człowieka. Wszystko jak bolesny skurecz ironji, jak drwiny szalone.

Wyspiański szukał w gmatwaniu współczesnej sensu, ładu, ludzi. Znajdywał zaś tylko chocholowe truchła, próchnem wypełnione rycerskie kołpaki. Jawi się majestatyczna wizja Wernyhory, lecz, cóż kiedy cham zgubił złoty róg „ostał mu się ino sznur“. Ino sznur! I rzuca społeczeństwu Wyspiański — „ostał ci się sznur“. Druzgoce w świętem uniesieniu bieżem swego rozczarowania. Obrzuca krwawym miłości śmiechem, woła o nowego człowieka, zwiastuna świtów jutra.

Pan Zelwerowicz, wystawiając „Wesele“ zasłużył sobie, iżby jego sukces artystyczny nazwano zarówno czynem obywatelskim. Przypomnił on bowiem w naszych smutnych chełmskich czasach, że kiedyś, kiedyś tlił w naszych piersiach duch Wernyhory. Artyści grali bez zarzutu. Sam p. Zelwerowicz dał powstać Czepca—wysocę skończoną, wyczelowaną w plastyce. Każde słowo brzmiało, jak dźwięk najszlachetniejszego metalu.

Kierownik teatru Małego p. K. Zalewski wznowił dawno niegraną komedię Fredry „Damy i Huzary“. Dawno też nie widzieliśmy w teatrze p. Zalewskiego sztuki tak dobrze wyreżyserowanej i wystawionej. Zasluga za reżyserję przypada w udziale p. Kunciewiczowi, który przytem doskonale odtworzył rolę rotmistrza. Sala bawiła się, chichotała, wzruszała ramionami, kpła z zalotów starych weteranów huzarskich. Miłość Zosi i pięknego porucznika wzruszała, roztkliwiała, złożyła ręce do oklasku, gdy widz dowiedział się o szczęśliwym rozwiązaniu wszystkich konfliktów i ominięciu przeszkód...

Przedstawienie zakończone żywym obrazem. Zosia wychodzi za mąż za porucznika — oto temat, który p. Jaroszyński wybrał sobie za treść swego pomysłu. I trzeba dodać, że wywiązał się wspaniale. Barwnie, bogato lśniły mundury wojsk naszych druhen. Wiersz zaś okolicznościowy p. Br. Skąpskiego podkreślał wspaniale ten świąteczny, weselny charakter obrazu.

Aktorzy grali bardzo dobrze.

Może mniej udatnie wywiązywały się z zadania panie. Naogół jednak przedstawienie to należy zaliczyć do... wzorowych.

E. C.



Muzeum Rodina.

Najwybitniejsi pisarze francuscy, jak Mistral, Barres, Mirbeau, Rostand, Claretie rozpoczęli agitację, by skupić rozproszone po całym świecie dzieła wielkiego



RODIN.

współczesnego rzeźbiarza, Rodina. Podobno, w tym celu stanąć specjalny gmach. Będzie więc miał Paryż jeszcze jedno muzeum. Bierzmy przykład z tej agresywności energii ducha galijskiego, bo u nas nawet muzea publiczne są w zaniedbaniu. Zaś muzeum mające powstać w Warszawie z zapisu Lachnickiego, „rośnie“... jak sławetny 3-ci most na Wiśle.



Przegląd polityczny.

Kończymy rok stary wcale niepomyślnymi „rezultatami“. Na widowni politycznej skupiły się chmury niebywale groźne. Zaburzenia w Chinach, nieustanne rewolty w Persji, wojna włosko-turecka, kwestja marokańska, zaostrenie się stosunków amerykańsko-rosyjskich — czyż to nie jest poważną wskazówką, że... rok nowy musi przynieść rozwiązania, które zaważą na szali wypadków dziejowych. Sprawę

marokańską nie należy uważać za załatwioną, choć... podpisano nowe traktaty. Sfery polityczne patrzą na te traktaty, jako na akt poniżenia mocarstwowego Niemiec, lecz... niemcy nie zapominają się zbroić. Bliskość starcia angielsko-niemieckiego lub francusko-niemieckiego jest prawie nieuniknioną.

W Persji dzieje się też nie bardzo pomyślnie. Prawdopodobnie już niezadługo usłyszymy, że naród perski straci swoją niezależność państwową. Na ulicach Teheranu, Tebryzu panują już właściwie żywioły nieperskie; naród pod pręgierzem parcia, z zewnątrz „zgodził się“ na rozpuszczenie medżyliżu. Telegramy donoszą ciągle o krwawych utarezkach wojska rosyjskiego z fidajami; padają ofiary, a pisma rosyjskie żądają, by zaprzestano szermierki słownej i „pozwolono mówić armatom“ („Kolokół, Now. Wremia“)...

W Pekinie też ciągle wre, ściągają się opinie, lecz leca i głowy z karków. Republika chińska krwawo kupuje swoją władzę. Ameryka popiera pociachu dążności republikańskie, lecz większość mocarstw wypowiedziało się za monarchją konstytucyjną. Czy jednak wróci na tron zmienawidzony dom mandżurski—pytanie to jest jeszcze kwestją przyszłości...

Wojna włosko-turecka przeciąga się, choć sułtan rozsprzedaje swoje skarby. Włosi zbroją się w... aeroplany i uważają ten „napad“ za sprawę swoją narodową. Entuzjazm ich trwa w całej pełni, wiadomości bowiem z placu boju przychodzą



Rosyjsko-perska stacja graniczna — Dzulfa, miejsce gdzie przeprowadzają się wojska rosyjskie na terytorjum perskie.

dla nich pomyślne. Słynny wynalazca Marconi urządził stacje radjo-telegraficzne na wszystkich punktach zajętych przez Włochów w Tripolisie. Widzimy więc, że i nauka popiera zabobrozość. Turcy odpłacają się za to włochom tak bezsensownymi rozporządzeniami, jak rozkaz zamknięcia wszystkich włoskich instytucji finansowych w Turcji.

Tydzień ubiegły przyniósł nam z dumy państwowej wiadomości niepokojące. Obradowano nad kwestją skupu kolei wiedeńskiej. Prezes ministrów Kokowcew na rewelację posłów odpowiedział wymijająco; o pracownikach zaś kolejowych wypowiedział zdanie, że rząd będzie wydalal tylko... nieodpowiednich. O sprawie chełmskiej zjawiają się ciągle nowe

opinie; między innymi ukraińskie „Dilo“ pisze, że „polski protest przeciw oderwaniu Chełmszczyzny stoi na takiej samej moralnej podstawie, jak i rosyjskie pretensje do Chełmszczyzny. Mieszkańcy ci nie są ani polakami, ani rosjanami, lecz są ukraińcami“.

Jaka jest doza racji w tem orzeczeniu, niech czytelnik sam najlepiej osądzi!

Komisja wykładowa Rady państwa pomimo protestu naszych członków, większością wszystkich przeciw pięciu, odrzuciła punkt projektu Dumy państwowej w sprawie nauczania początkowego. Punkt ten przewidywał nauczanie początkowe w miejscowościach „inorodczych“ w języku miejscowym. Było to do przewidzenia, wobec panujących obecnie prądów.

Sądzę, że dla Rady państwa ciekawą byłaby statystyka, którą niżej podajemy. Metoda nauczania w języku obcym prowadzi do skutków bardzo smutnych. Szkolnictwo bowiem może się tylko wtedy rozwijać, gdy językiem wykładowym będzie język ojczysty. U nas zaś w gubernji lubelskiej przypada na 14,000 mieszkańców jedna szkołka. W Norwegji 50 lat temu przypadła jedna szkołka na 270 mieszkańców. 50 lat temu! Te liczby mówią same za siebie! Wymowniejszych argumentów nie potrzeba.



Uroczystości w Indjach: Król Jerzy i Khedyw Medyny.

Na północy państwa rosyjskiego zjawia się znów widmo głodu. Rządy gubernjalne czynią wszystko, by złemu zaradzić. Najbardziej dotkniętymi są gubernje Kazańska i Saratowska. Na tę akcję ratunkową w Kazaniu wyasygnowano 1,329,181 rubli, w Saratowie 431,000. Mają być otwarte jadalnie, oraz uprzętniona sprzedaż chleba po cenach niższych.



Na szerokim świecie.

Azja jest w tych czasach widownią dziwnych kontrastów.

W Chinach rewolucja wzniesiona przez Sun-Yat-Sena, człowieka wielkich zdolności i przymiotów, walczy z rządem, starając się obalić panującą dynastję. Regent chiński, zagrożony, wezwał w swoim czasie do obrotu tronu wybitnego męża stanu Yuan-Chi-Kaja. Ogłoszono konstytucję, nie zadawalnia ona wszakże wymagań narodu, to też ruch rewolucyjny wrę i niewiadomo jeszcze jakie koleje losu czekają państwo niebieskie—czy pozostanie ono nadal



YUAN-CHI-KAJ,
podpora tronu.

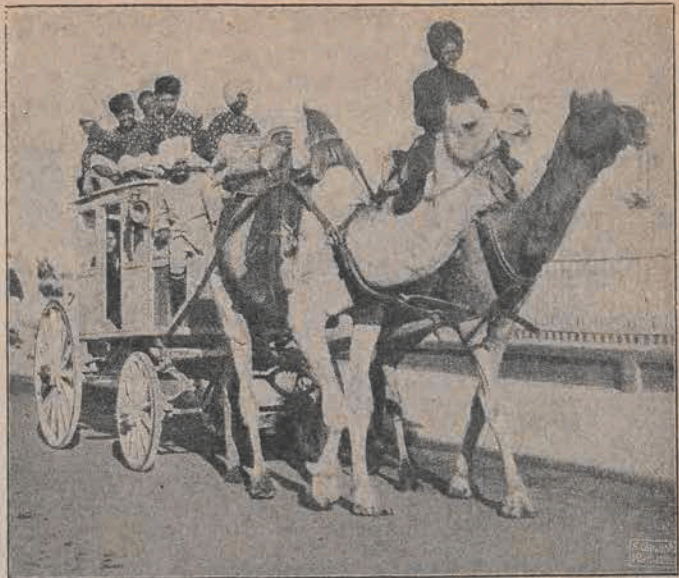
SUN-YAT-SEN,
przywódca rewolucjonistów.

monarchją lub też będzie rzeszypolitą.

W Indjach znów, odbyły się niedawno wspaniałe koronacyjne uroczystości. Król Jerzy, reprezentując potęgę Anglii, symbolicznie ugruntował swe władztwo jako pan i cesarz Indji.

Lśniły złotem i jaśniały marmurami wrota tryumfalne Bombaju a przepych i bogactwo rodzajnych Indji niesło pokłon i... daninę mocarzowi północy.

Ciągła walka i—ciągłe oddawanie holdów.



UROCZYSTOŚCI W INDJACH.

Wierni poddani dążą by oddać hold swemu cesarzowi z za oceanu.

Edward Słoński. *Wybór poezji.* Str. 360. Warszawa 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Poeta rozkochany w cichych, szczyrych wynurzeniach, nie znajduje dostępu do dusz tak łatwo, jak śpiewak piosenek przygodnych, wesołych, szumiących falą wezbranego, aktualnego życia. Dla Słońskiego bowiem, nawet chwila bieżąca przerodzi się w nostalgiczne marzenie o przyszłości, w wspomnienie upojnych, tęgich lat. Jest w jego organizacji psychologicznej jakaś nieukożona tęsknota, jakieś tłumione westchnienie, które nie wypowiada się w całej pełni, i przez to właśnie nęci, porywa.

Gdyby zaś Słoński powiedział, co ukochał poza szaremi polami, poza wierzb polskich łkaniem — możliwe, że przestałby być poetą, stałby się suchym dydaktykiem. Czujny duch „poetyczności“ wstrzymuje go na tej niebezpiecznej rubieży, co świadczy, iż panuje w nim dużej miary równowaga artystyczna. W powieściach, nowelach, nie hamuje się od wypowiedzenia tych swoich „pozaobrazowych“ marzeń, swoich dążeń humanitarnych, lecz w poezji jest tylko poeta.

„Wybór poezji“ Słońskiego—to zbiorek najcenniejszych kryształów jego talentu. Niema

formy artystycznej, którejby Słoński nie spróbował, nie owładnął nią. Od sonetu cyzelowanego, aż do rytmicznego białego wiersza, rozpościera się jego państwo słowa kunsztowne. Co do treści panuje tu też arcybogata różnorodność. Miłość, szara, refleksyjna dojrzałych lat



EDWARD SŁOŃSKI.

zaduma, lub rzewne ukochanie polskiego pejzażu — oto tematy jego łkających, cichych a równocześnie męskich piosenek.

Kto nie zna dostatecznie Muzy Słońskiego, niech „Wybór poezji“ przeczyta. Znajdzie tu wszystkie najcenniejsze jego liryki, jego pieśń o żołnierzu-tułaczku, o ojczyźnie „bez miedzy i granic“. Zbiorek uzupełniają wierne, doskonałe tłumaczenia z autorów rosyjskich i niemieckich.

Jubileusz dziennikarza.

Kraków najchętniej czytuje sprawozdania teatralne w „Nowej Reformie“. Pisuje bowiem i prowadzi ten dział od lat kilkunastu p. Władysław Prokesch.



WŁADYSŁAW PKOKESCH.

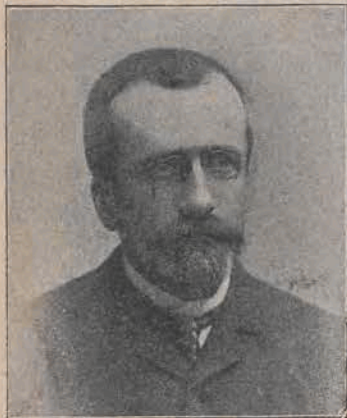
Otóż, temu to swojemu ulubieńcowi, z okazji dwudziestopięcioletniej pracy na niwie dziennikarskiej, zgotowano ucztę okazałą. Cały świat dziennikarski składał mu serdeczne życzenia. Nadesłało mnóstwo telegramów.



Ś. p. Bronisław Łoziński.

...I znowu ubyłó serce prawdziwego Polaka, człowieka niepospolitych zdolności.

Będąc na uniwersytecie, Łoziński oddaje się pracy na dziennikarskiej niwie, wstępując następnie do Wydziału Krajowego przy departamencie finansów państwowych. Nie porzucając pióra, zasilął swemi pracami „Czas“, „Gazetę lwowską“



Ś. p. BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

i in. W r. 1885 opuszcza Łoziński Wydział Krajowy i zostaje powołany przez ś. p. Filipa Zaleskiego do służby państwowej, gdzie szybko zostaje radcą namiestnictwa i komisarzem rządowym w sejmie.

Łoziński pozostawił po sobie szereg studjów jak „O prawie autorskiem“, „Kobieta wobec ekonomji społecznej“, „O samobójstwie“, „Państwo i socjalizm“, „Sejm postulatowy galicyjski“ i w. in.

Z Łozińskim odchodzi na wieczność człowiek, który był wzorem dla innych.



Potworny mord.

W fabryce p. A. Truskiera na Powązkach, zamordowano kilkunastu strzałami z rewolweru 46-letniego robotnika, Michała Rakowskiego.



MICHAŁ RAKOWSKI,
robotnik, ofiara skrytobójczego mordu.

kowskiego. Podobno, zmarły żadnych zatargów z nikim nie miał; podobno, był wzorowym ojcem i dobrym pracownikiem. Osierocił żonę i syna, pozostawił na łasce losu starego ojca. Czyż nie opamiętają się nareszcie zło, rozszalałe instynkta?!

Weiaż trwają ohydne porachunki z bronią w ręku, a narzędzie mordercze nie tylko służy narodom, lecz i jednostkom.

Odpowiedzialność za mord spada na ludność, pielęgnującą wśród siebie te żywotne chwasty, które wyplenić należy.



„Białe kruki” na górze Synaj.



Mnich z klasztoru na górze Synaj, z starą księgą ewangelji, pisaną w 2-gim wieku po Chr.

Na górze Synaj, którą otacza nimb świętych tradycji, gdzie podług starego testamentu objawione były Mojżeszowi przykazania boskie, wznosi się klasztor św. Katarzyny, ufundowany przez bizantyjskiego cesarza Justynjana w 527 r.

Turystów, zwiedzających klasztor, pociąga przedewszystkiem bezcenna wprost biblioteka z mnóstwem niezwykle rzadkich starych rękopisów i ksiąg z 1-go nawet tysiąclecia, wśród których najcenniejszą jest stara ewangelja w syryjskim języku, podług podania pochodząca z 2-go wieku po Chr.

Usiłowania.

Pieć piękna, nie tylko w ruchu umysłowym, lecz i fizycznie radaby nam dorównać. Pię-



Z. RUDZKA,
aresztowana za szpiegostwo.

kne są te usiłowania, jak pięknem jest każde dążenie do nowych celów i kulturalnych zdobyczy. Widzimy na naszej rycinie wszechświatowego boksera (sport niezbyt zaszczytny), widzimy również wielkiej sławy fechtmistrza, lecz widzimy i dzielną awiatorkę, pannę Janinę Herveu, uprawiającą sport dla ludzkości doniosły, wynik epokowego wynalazku, który już przynosi wielkie korzyści a w przyszłości nieocenione odda nam przysługi.

Lecz... płeć piękna, nieraz stara się prześcignąć brzydka połowę ludzkości w rzeczach, których bodajby nie naśladowała! W tych dniach aresztowano w Galicji pannę Z. Rudzką, któ-

ra z całą szajką męskich towarzyszy zajmowała się szpiegowstwem i, należy przyznać, rzemiosło to doprowadziła do perfekcji.



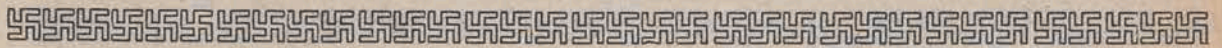
Kobiety w adwokaturze.
— Jak pan uważa przyjęcie przez komisję Dumy wniosku o dopuszczeniu kobiet do adwokatury?
— Świetnie! zamiast w domu, będą już pytlowały w sądzie.



G. Trombert,
znakomity szermierz.

J. Herveu,
dzielna awiatorka.

G. Carpentier,
słynny bokser.



OD REDAKCJI.

W jednym z najbliższych numerów rozpoczynamy druk ciekawego artykułu **ELIZY ORZESZKOWEJ** „Z DRÓG I LOSÓW MYŚLI POLSKIEJ“.

Od Administracji.

W celu unormowania nakładu, prosimy o możliwie wczesne zgłaszanie prenumeraty.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie	rb. 4.—	pólr.	rb. 2.—	kwart.	rb. 1.—
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ 4.60	„	„ 2.30	„	„ 1.15
Za granicą i za oceanem	„ „ 5.—	„	„ 2.50	„	„ 1.25
Numer pojedynczy kop. 10.					

Prenumerotorowie przybywający później, w razie wyczerpania się pierwszych numerów, otrzymają w osobnych odbitkach początek drukujących się powieści.

Przy wnoszeniu przedpłaty prosimy Sz. Prenumeratorów o zawiadomienie nas czy, ewentualnie, posiadają już początkowe numery.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „**ZŁOTEGO ROGU**“ w Warszawie **Mazowiecka № 5**, wszystkie księgarnie i biura dzienników.

Dział anonsów ważny dla rolnictwa, przemysłu i handlu!

CENA OGŁOSZEŃ.

Nadesłane przed tekstem (za wiersz 1-szpaltowy petitowy) 40 kop., 4-ta strona okładki 30 kop., Reklamy za tekstem 25 kop., Ogłoszenia zwyczajne 20 kop., Ogłoszenia specjalne 75 kop.

Najbliższe już numery będziemy drukować na lepszym, specjalnie zamówionym papierze, którego na termin fabryka nie dostarczyła.

„SZCZĘŚLIWY“ SPADKOBIERCA.



— Oj, stary, stary... zbyt hojne dary!

Epidemja podziałów.

W imię kulturalnych
[(chyba!) ideałów,
Wkrótce Europę
[ezeka moc podziałów;
Podział Chin i Turcji,
[Trypolis, Persji...
Ja, w zaboreczym głodzie
[nie czyniąc dywersji,
Żywię tylko w duszy
[swej obawę małą,
By które z *dzielących*
[też nie uszło... *cało*.

Względy strategiczne.

Polak. Rozumiem ostatecznie, że rząd chce nabyć kolej W.W., ale dlaczego nie może zostawić wszystkich polaków na urzędach dotychczasowych?

Biurokrata. Nie pozwalają na to względy strategiczne.

Polak. Przecież nasi posłowie dostatecznie wytłumaczyli, że polacy na służbie wierni są swoim obowiązkom?

Biurokrata. Ale nie o to, gołąbku, chodzi, lecz mogą nam przez polaków nasi nacjonałiści...

Polak. Co?

Biurokrata. A, no... wypowiedzieć wojnę.

Ferje Dumy.

Duma znów na miesiąc
[zamknęła podwoje,
I kontenta bardzo,
[że zrobiła swoje...
Tak, nie małej wagi
[spełniła tam dzieła,
Bo w tydzień — na sto lat,
[wszystko w tył cofnęła.

Na giełdzie.

— Wie pan o tem, panie Pomadenglanz, że Napoleon był także żydem.

— Co pan gada za głupstwa, panie Cymesknopf! A skąd pan o tem wie?

— Bo żeby nie był żydem, to by nie mógł być... „konsulem“.

Skup kolei Wiedeńskiej.

Choć na fest zakupią
[już Wiedeńską kolej,
Wcale nad tem, bracie —
[polaku, nie boleję.
Bo nie stracą pracy
[„uczciwi“ ziomkowie,
A co jest uczciwość —
[Aleksiejew powie.

Finagdotka chińska.

Gdy pewien mandaryn umarł, żona jego wzięła do ręki wachlarz i zaczęła troskliwie wachlować nieboszczyka.

— Co za wzruszający dowód miłości — mówili obecni — ale na próżno, przecież zmarłemu chyba teraz nie jest gorąco.

— Tu nie chodzi o miłość tylko o... wierność. Przysięgłam mu, że nie wyjdę zamaż, dopóki zwłoki mego męża nie... wystygną.

Wacław SUŁKOWSKI

CHEMISERIE SPÉCIALE

5 Bielańska 5, wprost Daniłowiczowskiej.

TELEFON 47-46.

Magazyn na parterze i na pierwszym piętrze.

Najpewniejsze źródło zakupu fundamentalnie doskonałej bielizny męskiej, trykotaży, skarpetek, chustek do nosa, kamizelek pikowych i t. p. artykułów specjalności bielizniarskiej.

SPECJALNOŚĆ FIRMY:

Bielizna obstalunkowa — modelowa (na miarę).
Ceny w granicach możliwości uprzyjętione i najścięlej stałe.

Instytut Leczniczo-Gimnastyczny

SALA SZERMIERKI

Bolesława Olszewskiego

AL. JEROZOLIMSKA 31. — TELEFON 60-68.

Firma egzystuje od 1870 r.

LEKCJE GIMNASTYKI SZWEDZKIEJ
DLA PANÓW, PAŃ I DZIECI PŁCI
OBOJGA. ĆWICZENIA ODBYWAJĄ
SIĘ POD KIERUNKIEM WŁAŚCICIE-
LA ZAKŁADU.

INSTRUMENTY MUZYCZNE
GRAMOFONY
PÓLECA
WARSZAWSKI GŁÓWNY SKŁAD
INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH
NOWY 72 ŚWIAT
TEL. 171-85
FIRMA EGZ. od r. 1888
NAJSOLIDNIEJSZE
ŹRÓDŁO.

LEKARZ DENTYSTA

Regina Wajnberg.

Nowy Świat 44, — telef. 140-48.

MAGAZYN OPTYCZNY
G. Gerlach,
poleca: **WARSZAWA, Czysta Nr. 4,**
LORNETKI, CYRKLE, LATARNIE MAGICZNE, MIKRO-
SKOPY oraz różne przyrządy dla naukowej rozrywki. — BAROMETRY — LAMPKI ELEKTR. KIESZONKOWE

NA SWIĘTA! DOSKONAŁE

10 szt.
6 kop.

100 szt.
60 kop.

papierosy Tow. **LAFERME**

W. MUŚNICKI i S-ka

Marszałkowska 80, — Senatorska 22.

Laboratorium D-ra Serkowskiego,

ANALIZY chemiczne i bakterjologiczne.

w Warszawie, ulica Ś-to Krzyska Nr. 16.

Bibliografja.

Artur Sliwiński. Powstanie listopadowe. Str. 197. Kraków. Spółka nakładowa „Książka“.

Leon Choromański. Zuzanna (nowele). Str. 208. Warszawa 1911. Nakład G. Centnerszvera i S-ka.

Szymon Tokarzewski. Z roku 1863 (opowieść w dwóch częściach. I. W kraju. II. Na Sybirze). Str. 181. Warszawa. Nakład drukarni L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza.

Ł. M. Zielenkiewicz. Urywki listów nienapisanych. Str. 55. Warszawa. Druk P. Laskauera.

Włodzimierz Perzyński. Wiosna (powieść). Str. 314. Warszawa 1911. Nakład S. Orgelbranda i Synów.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem (anegdota). Str. 302. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Józef Weyssenhoff. Soból i panna. Cykl myśliwski. Str. 379. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Władysław St. Reymont. Wampir. Powieść. Str. 327. Warszawa 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Emma Jeleńska. Jubileusz i inne nowele. Str. 259. Warszawa 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wiktor Gomulicki. Grandmuszkieter. Powieść historyczna. Str. 206. Warszawa 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wacław Gąsiorowski. Bem (powieść historyczna). Str. 505. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Adolf Nowaczyński. Cyganerja Warszawska. Sztuka w 4 aktach. Str. 210. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Szymon Tokarzewski. W ucieczce. Opowiadania wygnańca. Str. 108. Warszawa 1912. Nakład L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza.

Zofia Cieszkowska. Krzyżycia. Szkic psychologiczny. Str. 116. Warszawa 1911. Nakład drukarni L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza.
Edward Słoński. Romans rewolucyjny. Str. 316. Warszawa 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Maciej Wierbiński. Pod mysią wieżą. Powieść współczesna. Str. 373. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.
Stanisław Posner. Ludwik Gumpłowicz (zarys życia i pracy). Str. 200. Warszawa 1912. Nakład S. Orgelbranda i Synów.

Z. Przewóska-Czarnocka. „W zdrowem ciele—zdrowa dusza“. Pogadanki z higieny wychowania. Przedmowa dr. M. Roszkowskiego. Str. 132. Warszawa 1912. Nakład L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza.

Najpoczytniejszy i najżywiej prowadzony, jedyny w kraju ilustrowany miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy

„SFINKS“

w piątym roku istnienia swego pozostaje w dalszym ciągu pod redakcją poety i krytyka, profesora literatury polskiej na Kursach Naukowych w Warszawie, Władysława Bukowińskiego, przy bliskim współdziałaniu prof. liter. polskiej w Uniw. Jagiellońskim, Ign. Chrzanowskiego, i prof. liter. powszechnej na Kursach Naukowych w Warszawie, Ign. Matuszewskiego.

„SFINKS“ w r. 1912 prowadzi będzie w dalszym ciągu swą doniosłą pracę na polu literatury i sztuki ojczyźnej, podjętą przed czterema laty pod juljuszowem hasłem: „Z swych serc omyjcie rdzę, podnieście czoła“.

Nie goniąc za sensacją, unikając powierzchowności i blagi, dawać będzie, jak dotąd, obszernie, zajmujące i wartościowe rozprawy i studia z zakresu literatury i sztuki polskiej i obcej najznakomitszych pisarzy współczesnych, ciekawe powieści, nowele, piękne utwory poetyckie, feljeton „Na fali“, „Wrażenia teatralne“, „artystyczne“, przeglądy literackie etc., oraz doskonałe reprodukcje na papierze kredowanym godnych uwagi dzieł sztuki i liczne rysunki i winjety w tekście pierwszorzędných artystów naszych.

Początek nowej powieści Stanisława Przybyszewskiego p. t. „Mocny człowiek“, rozpoczętej w ciekawym i bogatym zeszycie listopadowym, nowi prenumeratorzy otrzymać mogą za dopłatą 20 kop. Po jej ukończeniu „SFINKS“ drukować będzie nową powieść Wacława Sierozewskiego.

Wszyscy prenumeratorzy „SFINKSA“, nadsyłający w ciągu grudnia całoroczną prenumeratę (9 rb. w Warszawie, 10 rubli pocztą, 12 rb. zagranicą) bezpośrednio do redakcji „SFINKSA“ (Polna 26, róg Mokotowskiej w Warszawie) otrzymają

Premjum bezpłatne,

pięciotomowy cykl znakomitych powieści Romain Rollanda p. t. „Jan Krzysztof“ w przekładzie Jadwigi Sienkiewiczówny i Henryka Sienkiewicza.

Cykl ten w oryginale francuskim kosztuje franków 14.

Na przesyłkę pocztową tego pięknego premjum dołączyć trzeba kop. 60.

Redaktor „Złotego Rogu“ przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do godz. 7 wieczorem.

Redakcja otwarta od godz. 12 do 3 po poł. i od godz. 5 do 7 wieczorem.

Administracja otwarta od godz. 10 rano do godz. 7 wieczorem.

TREŚĆ. Wacław Gąsiorowski, **Wojna narodów.** — Wiktor Gomulicki, **Walc nocnych mgieł.** — Walenty Zieliński, **Ze szkolnej ławy.** — Zygmunt Różycki, **Przejazd szatanów.** — Kazimierz Gliński, **Stare Lwy.** — Eustachy Czekalski, **Otto Juljusz Bierbaum.** — **Romantyzm, Pozytywizm a Współczesność.** — **Teatr.** — **Muzeum Rodina.** — **Przegląd polityczny.** — **Na szerokim świecie.** — Edward Słoński. — **Jubileusz dziennikarza.** — S. p. Bronisław Łoziński. — **Potworny mord.** — „Białe kruki“ na górze Synai. — **Usiłowania.** — **Od Redakcji.** — **Od Administracji.** — **Humor.** — **Bibliografja.**

Kłisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz **Eustachy Czekalski.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.